

Od autora: Opowiadanie

Jeszcze około pięćdziesiąt kilometrów i wskoczę do jeziora w Trokach. Niczego więcej nie pragnę, tylko dojechać do miasta. - Nic tutaj nie jeździ – zagaduję, nerwowo rozglądając się raz w lewo, raz w prawo. Agnieszka beztrząsowo wzdryga ramionami. Ma rację. Nie ma się czym przejmować. Siadamy na plecach, dopijając resztkę wody z butelki.

Taka właśnie jest precyzja życia. Niebo niebieskie, drzewa zielone, paprykarz szczeciński i pół chleba na drogę. Zaciągamy się papierosem. Każda po trzy machy. Na więcej nas nie stać. Dziewczyna w czerwonej, krótkiej sukience przejeżdża na rowerze. Patrzy i napatrzyć się nie może, jakby widziała małpki w ZOO. Agnieszka dodaje szczyptę dramaturgii do zaistniałej sytuacji i pokazuje język. Dziewczyna natychmiast odwraca głowę w drugą stronę, udając, że nie istniejemy. Może faktycznie tak jest. Nie mamy żadnej pewności.

Mija godzina, dwie. Ściemnia się i spisuję na straty dojazd do Troków tego dnia. Idziemy wzdłuż szosy przyciśnięte ciężarem plecaków, nadaremno wyczekując dźwięku jakiegokolwiek pojazdu. Cisza, rzecz by można - grobowa, którą od czasu do czasu zakłóca ptasi świergot. Myślę o Maćku. Nie mogę go pogrzebać w pamięci. Teraz najprawdopodobniej pije Żywca w Bobie, zachęcając jakąś laskę, aby zagrała z nim w lotki. Stary numer, też się nabrałam i, chociaż jestem tego świadoma, piszę do niego list, o tym jak dwa dni temu nie umiałyśmy zapalić ogniska, a starsza, przygarbiona pani z chaty mieszczącej się na wzgórzu przyniosła kozie mleko. Nie rozmawiałyśmy dużo, ale żadnej z nas to nie przeszkadzało. Staruszka wskazała ręką na chatę, następnie na szczyty drzew, po czym wręczyła mi dzbanek z mlekiem i odeszła. Piszę list, mając nadzieję, że Maciek, kiedy go przeczyta, pokocha mnie taką, jaką jestem.

Schodzimy z szosy. Za lasem musi być jakaś namiastka cywilizacji; szczekające psy, powieszone na płocie ścierki. Wczoraj zostawiłyśmy mapę na deszczu, a spory kawałek folii nie uchronił nas przed zmoknięciem. Śmierdzimy wilgocią zmieszaną z potem. W Trokach jest hostel, ciepła woda, sklepy, bary; piwo Svyturys i zupa. Obie to wiemy, obie marzymy, żeby się wykąpać i wtulić w przytulny koc, kontemplując kolorowe światła miasta.

Wchodzimy w głąb lasu, niebo czarnieje, a drzewa powoli zapadają w sen. Agnieszka włącza latarkę. Idziemy i patrzymy pod nogi. Nagle, coś zaczyna głośno szeleścić. Szepczę, że to nie jest wiatr. Agnieszka kieruje światło na szumiącą leszczynę, wstrzymując oddech. Stado dzików z prędkością światła wybiega z legowiska. Łomocze mi serce i z trzęsę się ze strachu. Na szczęście nie trwa to długo i po chwili znowu jest cicho. - Myślałam, że pobiegną w naszą stronę – mówię. Agnieszka przytakuje, uspokajając oddech. Bolą nas stopy, jesteśmy głodne, zmęczone i śpiące. Idziemy dalej z naszym dwudziestoletnim życiowym doświadczeniem, czyli praktycznie żadnym. Nasi rodzice są silni i zdrowi. Ukochane babcie czekają na pocztówkę z Wilna, a ojciec Agnieszki nie ma jeszcze Alzheimera i bardzo dobrze pamięta, że córka nie dzwoni. Nie mamy skąd.

Obie nie zdałyśmy egzaminu ze Średniowiecza. Ja poległam na hagiografii chrześcijańskiej Europy, Agnieszka na wierszach mistrza Wincentego. Szkoda. Liczyłam na pytanie o pieśni dusza z ciała wyleciała „Ne zielone łące stała. Stawszy, rzewno zaplekale”. Agnieszka na nic nie liczyła, nie miała głowy do Galla Anonima. Tuż przed sesją Mirek zdradził ją z Olą, przyszłą panią prawnik. Tyle wiemy o miłości w tym ciemnym lesie gdzieś na południu Litwy.

Wspominam ostatni dzień letniej sesji. Lipiec zapowiadał się słonecznie. Siedziałyśmy pod pomnikiem Korfanteo, popijając colę. Agnieszka od niechcienia powiedziała, że pojechałaby gdziekolwiek, bo życie ucieka między palcami. Bez cienia wątpliwości przyznałam jej rację i tego samego dnia pożyczyłam śpiwór od współlokatorki z akademika i policzyłam oszczędności, które zarobiłam w OBI, promując nawozy do iglaków i roślin balkonowych. Pomyślałam, że na wizytę u wschodnich sąsiadów powinno mi starczyć pieniędzy. Agnieszka również miała trochę zaskórniaków. Kupiłyśmy mapę Litwy, parę konserw, wodę, papier toaletowy i wyruszyłyśmy w podróż.

Inaczej sobie to wyobrażałam. Wiatr zaczyna coraz silniej podmuchiwać i spada na mnie pierwsza kropla deszczu. Wyjmujemy z plecaków peleryny, dumając czy iść dalej, czy rozłożyć śpiwory i folię. Nie mamy już wody i ledwo stoimy na nogach, ale podejmujemy decyzję: idziemy, pomimo że rozpadało się na dobre, a srebrne błyskawice co jakiś czas przecinają niebo. Tracę nadzieję – jesteśmy w beznadziejnej sytuacji. Chce mi się płakać, podnoszę wzrok i nie wierzę własnym oczom. W oddali widać światło w oknie.

Przyspieszamy kroku i, kiedy stoimy przed drzwiami starej chaty, na mój plecak wyskakuje czarny kot. Krzyczę z całych sił, Agnieszka wytrzeszcza oczy, a w drzwiach pojawia się łysawy mężczyzna w dresie, który bez wahania zaprasza nas do środka. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam tak szczęśliwa.

Coś nad nami czuwa - inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

Nie musimy ściągać butów. To dobrze, bo strasznie śmierzdzą nam stopy. Wchodzimy do sieni, napotykając około trzydziestoletnią blondynkę z długim warkoczem. Spogląda najpierw na męża, potem na wielkie plecaki i znika w kuchni. Po chwili przynosi miskę z wodą, ręcznik i kładzie czajnik na rozgrzany piec. Myjemy się, zerkając na wielki stół w pokoju, na który gospodyni stawia flaszkę wódki, słoik ogórków, smalec i chleb. Wchodzimy do pokoju i siadamy na drewnianych krzesłach. Wyciągam portfel, ale mężczyzna odmawia przyjęcia pieniędzy, za to nalewa prawie pełne cztery szklanki wódki. W oczach Agnieszki dostrzegam przerażenie. Niestety nie możemy odmówić.

Przechylamy szklanki, krzywimy się i połykamy ogórki. Mężczyzna wyjmuje z kredensu album z fotografiami. Oglądamy zdjęcia: dziadka na froncie, staruszki w chustkach oparte o płot, bliźniaczki, zrywające polne kwiaty. Przechylamy szklanki, krzywimy się, połykamy kromki chleba ze smalcem i oglądamy dalej; suknię ślubną gospodyni, chrzest tłustego niemowlaka, jasnowłosą dziewczynkę w spodenkach, uśmiechającą się od ucha do ucha. Uśmiecham się i ja, bo dziecko wygląda prześlicznie, na co blondynka reaguje płaczem, a mężczyznę w ogóle to nie dziwi. Zapala fajkę, po czym dolewa żonie wódki i dopiero w tym momencie zauważam, że kobieta jest ubrana w czarną suknię.

Dziewuszka nie żyje. Umarła tydzień temu. Dziewuszka nie żyje. Rozmywa się ze zdjęcia, rozplywa wraz z herbatą w kubku, którego nie mam siły podnieść. Jestem pijana i, próbując wstać, opadam na łóżko, mieszczące się niedaleko stołu. Taka jest precyzja życia. Po wypiciu dwóch szklanek wódki należy iść spać.

Wstaję w południe. Agnieszka cicho chrapie, leżąc obok mnie. Mam kaca i mogłabym wypić wiadro wody. Z trudem wygrzebuję się z łóżka i wychodzę na dwór. Trawa jest jeszcze wilgotna, a słoneczne promienie suszą nasze ubrania, wiszące na sznurze. Blondynka podaje mi talerz z kanapkami i szklankę soku porzeczkowego. Siadam na pniu, jem i patrzę na nieskazitelnie błękitne niebo. Agnieszka pojawia się na ganku, dostaje od gospodyni talerzyk z kanapkami i zajmuje drugi pień. Jemy w ciszy, nie mając siły rozmawiać. Zresztą, nie ma o czym. Nie wiemy dlaczego dziewczynka ze zdjęcia zmarła; czy była chora, a rodzice nie mieli pieniędzy na leczenie, czy to był nieszczęśliwy wypadek, niefortunnie spadła z drzewa,

a może wybiegła na szosę, nie zauważając przejeżdżającego samochodu.

Nie wiemy i już nigdy się nie dowiemy. Po śniadaniu pakujemy rzeczy, żegnamy się z gospodarzami i znikamy w lesie, który wygląda znacznie przyjaźniej, niż wczorajszej nocy.

Za godzinę dochodzimy do drogi, siadamy na plecakach i zapalamy papierosa. Każda po trzy machy. Niczego więcej nie pragniemy, tylko dojechać do miasta.

Tego dnia życzenie spełnia się. Zatrzymujemy czerwoną Skodę, wrzucamy swój dobytek do bagażnika, szczerząc zęby do kierowcy w przetartych dżinsach, który potwierdza kierunek: Trakai. Coś nad nami czuwa. Inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

Jest czwarta po południu. Wieżyczki zamku lśnią w słońcu, znajdując odbicie w tafli jeziora. Agnieszka, wchodząc do wody dostaje gęsiej skórki. Nie szkodzi, zamykam oczy, dając nura. Pode mną przepływa jakaś ryba, wynurzam się i stwierdzam, że podróże mają słodki smak.

Wieczorem pójdziemy do knajpki niedaleko zamku. Wypijemy Svyturys, zjemy gulasz, słuchając Beautiful Day U2 i nie będziemy już pamiętać o blondynce i mężczyźnie w dresie. Planujemy jechać do Wilna, potem nad morze, bo przecież nie chcemy, aby życie uciekało nam przez palce.

Zapomnę o pustych oczach blondynki, o szmacianej lalce, którą trzymała w dłoniach podczas naszego pożegnania, do czasu, kiedy zbudzę się z bólami porodowymi i zacznę bać się o swoją córkę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Adela, dodano 08.06.2015 13:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.